

tradycji. Bez ich wysiłku jednak, sędzę, *Summorum...* jest i będzie bezradne. Jak każdy dokument może po prostu zostać pominięte. Oczywiście wszyscy wierni zyskują instrukcję, na którą mogą się powoływać, prosząc o dostęp do tego rodzaju liturgii. Niemniej aby o nią prosić, muszą o niej wiedzieć.

Sędzę ostatecznie, że sam ten dokument jest środowiskiem, małym habitatem starożytnego rytuału. Oby był jego płodną i ochraniającą macicą, która w trudzie nachodzących ją skurczów zacznie rodzić nowych spadkobierców i odnowi poczucie katolickiej dumy, przynależności i czci. ■

Teresa Milcarek

Na Mszę świętą trydencką chodzę od dziecka, jest mi ona dobrze znana i bliska. Forma nadzwyczajna stała się dla mnie „zwyčajną” i rzadko zastanawiałam się nad powodami, dla których skłaniam się właśnie ku niej.

Już jako mała dziewczynka lubiałam być traktowana poważnie i trwa to we mnie do dzisiaj. Nie potrafię modlić się w chaosie i zamieszaniu, a nienaruszalna konstrukcja Mszy trydenckiej nie pozwala na dowolne jej przekształcanie i uatrakcyjnianie, umożliwiając tym samym skupienie się na tym, co najważniejsze.

Odnajduję Boga w harmonii i spokoju liturgii, która trwa od wielu wieków. Uczestnicząc w tej Mszy, czuje się trwałość Kościoła powszechnego. Od wielu lat moja rodzina związana jest z Opactwem Matki Bożej w Fontgombault. Piszę te słowa wła-

śnie stamtąd, uczestnicząc w tych samych nabożeństwach razem z Amerykanami, Niemcami, Chińczykami, Brytyjczykami i Francuzami. Wszyscy znamy tę samą Mszę i te same psalmy. Modlimy się językiem Kościoła i czujemy jego jedność. W Mszy trydenckiej mogę uczestniczyć zarówno w Warszawie, jak i w Rzymie. Nie muszę zastanawiać się nad znaczeniem Pisma Świętego czytanego po hiszpańsku czy niemiecku. Wystarczy mi mój mszał.

W liturgii trydenckiej ważna jest dla mnie równowaga. Jest cisza i jest śpiew. Jest modlitwa osobista i jest wspólna. Jest czas i na postawę stojącą, i na to, aby klęczeć. Prywatność i poczucie wspólnoty.

Nie sposób pominąć widocznego piękna Mszy. Kościoła przesiąkniętego zapachem kadzidła i poruszających śpiewów, specyficznej atmosfery bliskości Boga. Aby prawdziwie się pomodlić, trzeba wyrwać się z codziennych spraw. Łatwiej jest mi oddzielić się od nauki, sprzątanina, wybieżki do muzeum czy pieczenia ciasta, kiedy liturgia jest ceremonią. Adorujemy Króla królów i Pana panów i powinno być to widoczne.

Liturgia w rycie trydenckim przypomina, że jesteśmy ludźmi i bez Boga nic nie możemy. Dużo się klęczy i to jest ważne, bo mówi, kto jest Stwórcą i do kogo zwracamy się po ratunek. Ludzie pochylają głowy i ukrywają twarze w dłoniach w kompletnej ciszy. Jest na to czas, refleksji nie da się odnaleźć w chwili.

Wielu moich znajomych z czasów dziecięcych wspomina zdumienie w kościele porównywalne do ciągnących się w nie-

skończoność akademii szkolnych. Ja pamiętam Msze święte w gromadzącym warszawskich „tradsów” kościele św. Benona. Ja znam fascynującą dla kilkuletniego dziecka aurę tajemnicy, bogactwo kolorów i zdobień, śpiewy, pierwsze próby śledzenia tekstu łacińskiego w „dorosłym” mszale. Nigdy nie czułam niechęci do liturgii, myślę, że w dużym stopniu zawdzięczam to uczestnictwu w Mszy trydenckiej.

Msza święta trydencka ukształtowała mnie w znacznym stopniu. Uczestnictwo w niej jest dla mnie ważne i zawsze szukam tej możliwości. Odkrywa się ją stopniowo, za każdym razem znajdując coś nowego. Mimo niezmienności konstrukcji zachwyca bogactwem modlitw. Jest piękna, godna, poruszająca, dostojna.

Chodzę na Mszę świętą trydencką, aby prawdziwie się pomodlić. ■

Ks. Jakub Raspaj

Zapewne wiele osób pisząc lub mówiąc o znaczeniu motu proprio *Summorum Pontificum*, podkreśla doniosłość tego dokumentu w znaczeniu ogólnokościelnym, w powrocie do prawdziwej tradycji, pojednaniu wewnętrznym, w ubogaceniu obu form itp. Ja jednak chciałbym pokazać, jak Msza święta w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego oddziałuje na kapłana. Kapłana w poważnym kryzysie.

Kryzysy zdarzają się wszędzie – w małżeństwie, rodzinie, pracy, także w kapłaństwie. Różne i często złożone są ich przyczyny, różne także skutki. Do najczęstszych przychodzących mi na myśl

przyczyn kryzysów kapłańskich należą: wypalenie duchowe, problemy w szkole lub na parafii, samotność, brak porozumienia między kapłanami, brak widocznych owoców swojej pracy, niezadowolenie z powierzonych sobie obowiązków, emocjonalna potrzeba miłości, akceptacji, bliskości oraz wiele, wiele innych. Czasami dochodzą do nich także frustracje z powodu ignorancji duchowieństwa w kwestiach Mszy trydenckiej, które potrafią skutecznie rozdrażnić, a czasami nawet zranić jakimś rodzajem wrogości wobec tego, co dany kapłan pokochał i czemu się poświęcił.

Jeden z kryzysów dotknął piszącego te słowa. Trwał ponad rok, a jego przyczyny, różne i złożone, pragnie on zachować dla Boga i samego siebie. Tym, czym chce się on podzielić z innymi, nie jest bowiem duchowy ekshibicjonizm – jakieś świadectwo konkretnej słabości i grzeszności – który powinien być w zdrowy sposób ujawniany przy kratkach konfesjonału, ale raczej moc Boga wypływająca ze świętej Liturgii. Idźmy jednak od początku...

Kryzys dotyka niespodziewanie, przychodzi nagle, niezauważony, prowadzi do smutku, złości, rezygnacji, powoduje brak zadowolenia z posługi, zniechęcenie, nieustanne zmęczenie, znudzenie, brak motywacji do zmiany. Kryzys przychodzi nieproszony do domu duszy, ale może zostać z niej wyproszony porządnym kopniakiem, jeśli kapłan zanurzy się w Bogu i Jemu powierzy wszystko, także przeżywanie tego kryzysu. W życiu piszącego te słowa kryzys odebrał absolutnie całą